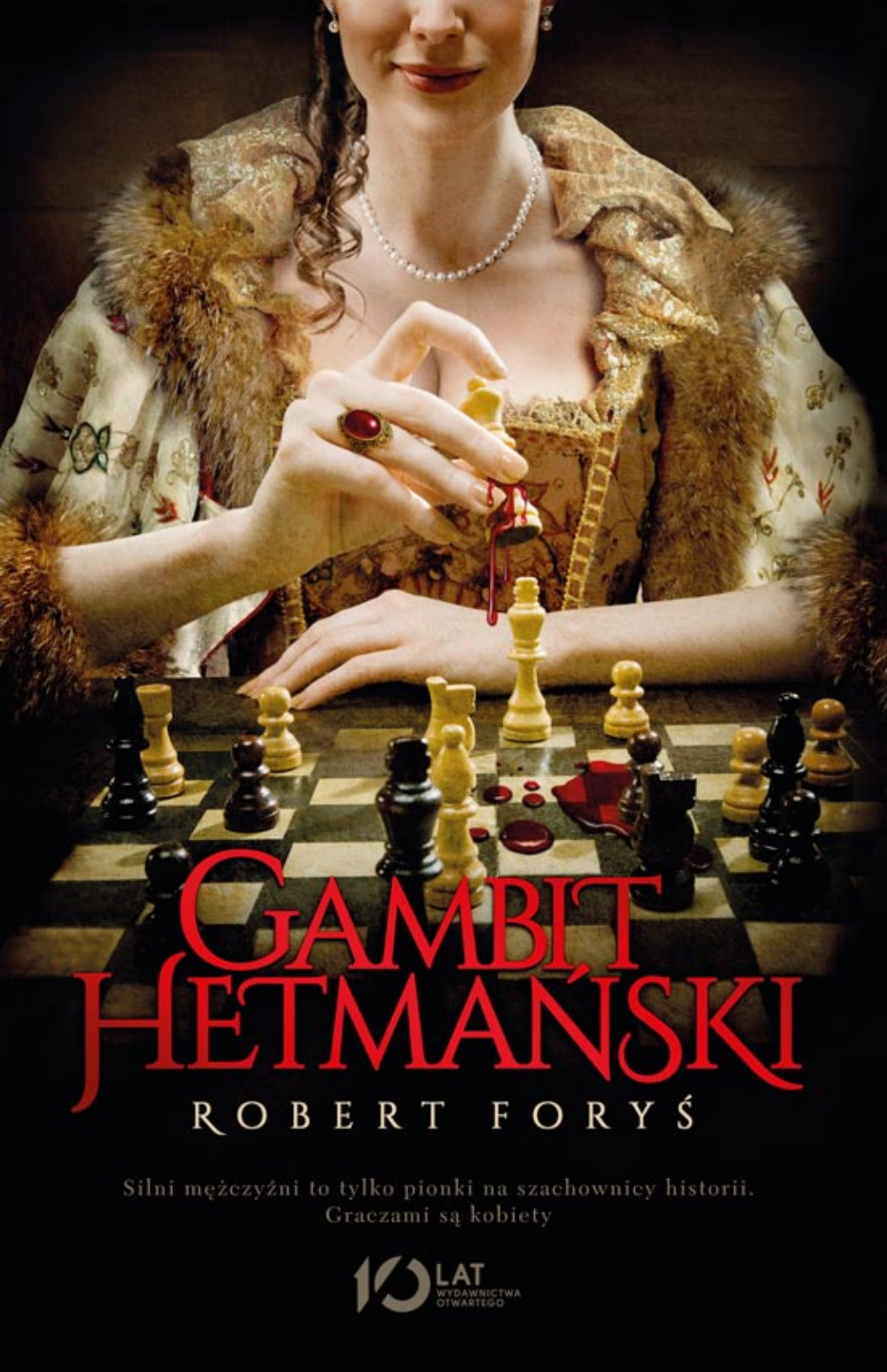

GAMBIT HETMAŃSKI
ROBERT FORYŚ
Silni mężczyźni to tylko pionki na szachownicy historii.
Graczami są kobiety
10 LAT
WYDAWNICTWA
OTWARTEGO

ROBERT FORYŚ

GAMBIT HETMAŃSKI

OTWARTE
KRAKÓW 2016

Copyright © by Robert Foryś

Opieka redakcyjna: Małgorzata Olszewska

Redakcja tekstu: Elżbieta Kot, Robert Chojnacki

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Ozdobnik we wnętrzu książki i na okładce: Eliza Luty

Adiustacja: Alicja Listwan / d2d.pl

Korekta: Magdalena Mrożek / d2d.pl,
Jadwiga Makowiec / d2d.pl

Łamanie: Agnieszka Frysztak / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: szachownica – © Betsie Van der Meer / Stone / Getty Images; kobieta – © Betsie Van der Meer / Stone / Getty Images, © iStockphoto.com / Yuri_Arcurs, © iStockphoto.com / Nkarol, © iStockphoto.com / artsverlova

ISBN 978-83-7515-343-9

OTWARTE

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569
Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

BÓG, HONOR, TRUCIZNA

Obietnice

Paryż, październik A.D. 1671

Prawdziwa władza kryje się w cieniu. Wybrzmiewa szeptem knowań i pochlebstw, dźwięczy złotem, zabija trucizną i zdradą. Ten, kto osiągnął mistrzostwo w sztuce intrygi, może za pomocą niewidzialnych sznurków sterować losami innych, choćby byli oddaleni o tysiące mil.

Markiza d'Arquien miała całkowitą pewność, że mężczyzna, którego odwiedza po zmroku, trzyma w swych zręcznych dłoniach mnóstwo takich niewidzialnych nici. W tym kilka łączących się bezpośrednio z nią.

Kardynał Pierre de Bonzi siedział zgarbiony za biurkiem, dzierżąc w dłoni gęsie pióro i skrobiąc nim po karcie papieru. Za plecami jego eminencji wisiał na ścianie olbrzymi portret Ludwika XIV. Król Francji, w peruce i zbroi, unosił szpadę, kierując ostrze w stronę jakiegoś oblężonego miasta.

Markiza wykrzywiła wargi na wspomnienie upokorzeń, których doznała od tego ogarniętego megalomanią bufona. Po raz setny przysięgła sobie, że któregoś dnia Ludwik zapłaci jej za afronty.

Kardynał nie okazał zdziwienia późną porą wizyty. Z markizą znali się jeszcze z czasów, gdy Bonzi pełnił służbę ambasadora Ludwika XIV w Rzeczypospolitej i wspólnie czynili starania, aby

wynieść na tron Polski francuskiego pretendenta księcia de Condé. Niestety szlachta zniweczyła te plany, głosując na syna kniazia Jaremy – Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Mit obrońcy Zbaraża miał, jak się okazało, większą wartość w oczach panów braci niż złoto i wszelkie obietnice płynące znad Sekwany.

Markiza minęła buzujący ogniem kominek i stąpając po miękkim dywanie, ruszyła w stronę oświetlonego przez świece biurka. Kardynał wyszedł jej naprzeciw. Był szczupłym, wciąż atrakcyjnym mężczyzną. Miał pociągłą twarz o wystających kościach policzkowych i ciemne włosy, w których połyskiwały iskierki siwizny.

Gdy się uśmiechnął, w jego oczach pojawił się drapieżny błysk.

– Witaj, droga przyjaciółko. Cieszę się, że znalazłaś dla mnie czas przed wyjazdem.

– Nie mogło być inaczej, eminencjo. – Podeszła bliżej.

W chwili, gdy powinna była pochylić głowę i ucałować kardynalski pierścień, wpadła w ramiona odzianego w szkarłat mężczyzny. Odchyliła głowę w tył, a on złapał ją za podbródek i pocałował zachłannie w usta. W pierwszym odruchu zamierzała odepchnąć go i zrugać. A jednak nie zrobiła nic, by go powstrzymać.

Kardynał miał coś, na czym bardzo jej zależało. Kufer ze złotem, bez którego nie zamierzała opuszczać Paryża.

Pierre de Bonzi wydał z siebie niski pomruk. Obrócił ją plecami do biurka, chwycił w talii i bez wysiłku posadził na blacie. Wygięła się i oparła ciężar ciała na zgiętych łokciach, gdy eminencja zadarł wysoko jej błękitną suknię. Zacisnęła zęby i zamknęła oczy. Kardynał podciągnął sutannę i nie spuszczając z markizy ognistego spojrzenia, wsunął się między jej uda z pomrukiem chciwej żądzy.

Szybko wstrząsnął nim spazm. Chrząknął gardłowo i poruszył biodrami w ostatnim konwulsyjnym pchnięciu. Westchnęła, zastanawiając się, ile dni dzieli ją od miesięcznego krwawienia.

Szybko jednak odgoniła od siebie te myśli. To była jej ostatnia noc w Paryżu i zostało jeszcze wiele rzeczy do omówienia, nim opuści ojczyznę i powróci do męża.

W gabinecie zapachniało tytoniem i kawą, zestawem egzotycznych, piekielnie kosztownych nowinek, na które w Paryżu zapanowała moda, odkąd Ludwik XIV postanowił dorównać innym europejskim potęgom i zdobyć dla Francji kolonie. W kraju nad Sekwaną pojawiły się tytoń i trzcina cukrowa z Ameryki, czarni niewolnicy z Senegalu, kawa i drogocenne przyprawy ze Wschodu. Nowe wspaniałe klejnoty w koronie Króla Słońce, wzmacniające jego potęgę, której i tak żaden inny monarcha w Europie nie mógł samodzielnie sprostać.

„I wielkie pieniądze, bez których nic nie jest możliwe", pomyślała markiza z zawiścią. Choć starannie to skrywała, czuła się jak żebraczka, musząc prosić króla Francji o kolejne subsydia. Walka o tron pochłaniała krocie, a majątki jej rodziny pustoszone rok w rok przez wojnę przynosiły zaledwie cząstkę dawnego dochodu. Najgorsza była świadomość, że dla Ludwika są to niemal drobniaki, dla niej zaś i jej męża – cała nadzieja na przetrwanie ciężkich czasów w Polsce.

Na szczęście tu, w Paryżu, mogła liczyć na protekcję kardynała de Bonziego w staraniach o pozyskanie funduszy z królewskiego skarbu.

– Wino, kakao czy kawa? – Głos eminencji oderwał ją od rozmyślań.

– Poproszę kawę – odparła.

Usiadła na krześle i spojrzała na kardynała stojącego przy stoliku z napojami. Bonzi skończył napełniać filiżanki, odstawił imbryczek i uśmiechając się, wręczył jej napar.

Markiza posłała mu wymuszony uśmiech. Ostrożnie wzięła łyk – kawa była gorąca.

Eminencja umościł się blisko niej.

– Za nasze przyszłe powodzenie – wzniósł toast swoją filiżanką.

– I spełnienie najskrytszych planów – dodała ona.

– Tak… – Oblicze kardynała przybrało czujny, przebiegły wyraz. Spojrzeli sobie w oczy. – Czy jesteś pewna, że twój mąż zdecyduje się na bunt?

– Na bunt nie, lecz jeśli nazwiemy to działaniem w obronie praw i wolności jego ukochanej Rzeczypospolitej, owszem. Zadbam o to – zapewniła z pełnym przekonaniem.

De Bonzi zacisnął usta w wąską linię.

– Tym razem nie możemy ponieść porażki. Francja staje w obliczu wojny z koalicją Austrii, Holandii, Prus i Hiszpanii. Ludwik bardzo liczy na hetmana. Jeśli obalicie Korybuta i jego austriacką królową, książę de Longueville przypłynie do Gdańska z flotą i żołnierzami.

– A to odciągnie Austriaków od naszych granic. Jest pewne, że cesarz zechce ratować siostrę i szwagra na polskim tronie – dodała cynicznie markiza. Mówiąc „naszych granic", czyniła to szczerze. Wciąż uważała się za Francuzkę i nie przypuszczała, aby kiedykolwiek uległo to zmianie. Nie w głębi jej serca.

– Najważniejszy jest prymas Prażmowski – oznajmił de Bonzi. – Zapewnij go, że pozostaje w pamięci i łaskach Ludwika. Na dowód tego wkrótce otrzyma dziesięć tysięcy funtów w złocie.

– Czy to wystarczy? – wyraziła wątpliwość markiza. – Owszem, wydaje się, że prymas szczerze nie znosi Korybuta, lecz wynika to tylko z urażonej ambicji. Prażmowski jest wrogiem Wiśniowieckiego, gdyż ten słucha we wszystkim matki, żony Habsburżanki i Paców.

– Prymas od lat wykazuje lojalność wobec Francji – rzekł de Bonzi.

– Ale podczas elekcji poparł carewicza Fiodora – przypomniała cierpko. – Ponoć wziął za to olbrzymie kwoty w rublach i sobolach. Nie ma wątpliwości, nasz prymas służy tylko własnej ambicji i temu, kto najlepiej go opłaca.

– Jak my wszyscy, markizo. Dlatego nasza oferta jest najlepsza. – Kardynał uśmiechnął się lekko. – Król Ludwik zaproponuje prymasowi coś, czego nikt inny na świecie nie może mu dać.

Wstrzymała oddech, obserwując zagadkowy uśmieszek na jego ustach. Dając sobie czas na zastanowienie się, odstawiła pustą filiżankę na szafeczkę mieszczącą się za palikiem baldachimu. Nagle ją olśniło. Robiąc wielkie oczy, spojrzała na kardynała.

– Chcecie zrobić go papieżem!? – zawołała podekscytowana.

– Jestem pod wrażeniem twej przenikliwości, markizo – odparł de Bonzi. – Zaproponowałem taki plan i król wyraził zgodę. Otrzymam też niemałe fundusze, aby zdobyć stosowne poparcie w kolegium kardynałów.

Markiza ochłonęła już po pierwszym szoku.

– To się nie uda. – Potrząsnęła głową, wzburzając falę ciemnych loków opadających na szczupłe jasne ramiona. – Od czasów Borgiów nie wybrano na tron papieski nikogo spoza Italii!

– Z jednym bardzo krótko trwającym wyjątkiem – przyznał kardynał. – Jest to jednak bardziej zaleta niż przeszkoda, jeśli zaproponuje się kurii rzymskiej odpowiedniego kandydata.

– Ludzie kupią tylko to, czego pragną – zauważyła trzeźwo.

– A czego pragną kardynałowie?

Markiza ironicznie uniosła brwi.

– Bogactw i młodych chłopców?

De Bonzi uśmiechnął się, doceniając drwinę.

– Oczywiście, pieniądze pozwalają zaspokajać pragnienia – powiedział, markiza zaś odniosła wrażenie, że mówi o samym sobie. – Mam jednak na myśli ideę, która uwiedzie kolegium kardynalskie. Coś, czego brakuje w Rzymie rozrywanym przez konflikty w kurii. Nada nowy sens misji sług Kościoła.

– Co może dać kardynałom wybór Polaka?

– Szanse na powrót do czasów świetności. Kościół potrzebuje papieża spoza Italii, kogoś oderwanego od jej małych konfliktów i intryg. Człowieka, który zorganizuje ligę państw katolickich

skierowaną przeciw imperium tureckiemu. Wzmocni tracące na znaczeniu i bogactwie papiestwo.

– I Prażmowski ma tego dokonać? – zapytała z powątpiewaniem.

– Nie sam, oczywiście. – Jego eminencja uśmiechnął się nieskromnie.

– Skąd przypuszczenie, że kardynałowie poprą taki zamiar?

– Pytanie brzmi: co ich czeka, jeśli tego nie uczynią? Poza wpływem Kościoła pozostaje wielka część protestanckich Niemiec, Skandynawia, Anglia i Holandia z ich koloniami. Rzym nie otrzymuje z tych krajów dziesięciny. Samo państwo papieskie otoczone jest przez italskie posiadłości Hiszpanii i Austrii. Katoliccy monarchowie zaczynają wyciągać ręce po biskupstwa, domagać się od duchownych, by w pierwszej kolejności byli wierni państwu i królowi, a nie Ojcu Świętemu. Papież Polak to wizja, która pozwoli Kościołowi odzyskać dawną pozycję zachwianą przez reformację i potęgi chrześcijańskich królów.

„W tym także tego bufona Ludwika, którego w głębi serca oboje nie cierpimy". Tę myśl markiza zachowała jednak dla siebie. Pewnych spraw lepiej nie poruszać, nawet gdy jest się nagim w alkowie.

Musiała przyznać, że plan był śmiały i pociągający. Godzien nieprzeciętnej inteligencji kardynała de Bonziego. Choć przebieg jego realizacji – podobnie jak jego twórca – piekielnie nieprzewidywalny.

Człowiek z blizną

Kufer był tak ciężki, że musiało dźwigać go czterech silnych mężczyzn. W pewnej chwili jeden z nich idący na przedzie zaczepił czubkiem buta o nierówność bruku i na moment wielka skrzynia

przechyliła się niebezpiecznie na bok. Sama myśl, że mogłaby trzasnąć o ziemię i otworzyć się, ujawniając sekretną zawartość, wywołała kpiący uśmieszek u Charlotty Mesire.

Odsunęła się od okna i wkroczyła do kancelarii, gdzie powitał ją sekretarz kardynała. W białych pończochach, szustokorze i pofryzowanej peruce przypominał Charlotcie elegancko wystrzyżonego pudla.

– Jego eminencja jest zajęty modlitwą – oznajmił wyniośle. – Wyraźnie zaznaczył, że nie należy mu teraz przeszkadzać.

Charlotta spojrzała na sekretarza, mrużąc oczy.

Wielu rzeczy można było się spodziewać po kardynale Tulonu, lecz nie tego, że oddaje się porannej pokucie zaraz po nocy spędzonej z mężatką.

– Zatem poczekam.

Usiadła na wygodnym, wyścielanym aksamitem krześle ustawionym pod ścianą.

Sekretarz zmarszczył brwi, ale nie ośmielił się zaoponować. Z niezadowoloną miną wrócił za biurko. Wyciągnął gęsie pióro z kałamarza, strząsnął nadmiar atramentu i zaczął pisać coś na karcie papieru.

Zdołał nakreślić dwa, trzy zdania, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadł przez nie jakiś dworak. Wymachując naręczem opatrzonych pieczęciami dokumentów, zaczął perorować podniesionym głosem, nie zwracając uwagi na obecną w pomieszczeniu damę. Padły takie słowa, jak „poważne konsekwencje", „zaniedbanie", „skandal" i „łapówka". Przy każdym z tych określeń sekretarz krzywił się, jakby obrywał pięścią w brzuch.

W końcu udało mu się przerwać oskarżycielską tyradę. Poderwał się zza biurka i obiecując natychmiast wyjaśnić zarzuty, wyprowadził z sekretariatu rozwścieczonego mężczyznę.

Charlotta podniosła się z krzesła, gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi z cichym szczękiem. Podeszła do przeszklonego wyjścia na taras. Wystarczyło przekręcić zasuwkę, aby otworzyć podwoje i dostać się na szeroki balkon o wysokiej kamiennej balustradzie. Zadrżała, gdy owiało ją chłodne powietrze.

W dole, na alejkach między wilgotnymi żywopłotami zbierała się mgła napływająca od Sekwany. Charlotta nie dostrzegła żadnych strażników, wszyscy byli zajęci na dziedzińcu przy pakowaniu na wozy drogocennych skrzyń.

Taras miał kształt litery L, której krótsza część niknęła za narożnikiem gmachu. Skierowała się tam, mijając gabinet kardynała, i skręciła za róg, gdzie znajdowały się olbrzymie okna alkowy. Kompleks pomieszczeń zajmowany przez kardynała składał się z sypialni, łazienki, garderoby i saloniku. Właśnie w tym ostatnim pokoju eminencja prowadził rozmowę ze swym gościem.

Niestety firany były szczelnie zasłonięte. Przez szparę w uchylonym oknie sączyły się ciche głosy, zagłuszane przez hulający po tarasie wiatr. Charlotta musiała maksymalnie wytężyć słuch, aby wychwycić poszczególne słowa.

– Eminencja ufa jej?

– Dlaczego miałbym nie ufać? Dotychczas dobrze nam służyła.

– Mój pan odnosi wrażenie, że markiza Sobieska myśli więcej o pozycji swego męża niż o powodzeniu naszej sprawy.

– Cóż… taki to urok małżeństwa – rzekł de Bonzi. – Zresztą zabezpieczyłem się przed…

Dalsze słowa skutecznie przytłumił świst wiatru.

– Czy książę de Longueville gotów jest przyjąć na siebie ciężar korony? – To był już głos rozmówcy kardynała.

– O ile zostanie wezwany przez swych nowych poddanych – zaznaczył kardynał z rezerwą. – Król Ludwik ma żywo w pamięci poprzednie niepowodzenie w Polsce z elekcją księcia de Condé.

– Decyzja szlachty była zupełnie nie do przewidzenia, eminencjo.

– Wiem to. Tym razem nie możemy…

Skrzypienie zatrzaśniętej przez wiatr okiennicy zagłuszyło głos kardynała.

Charlotta zaklęła w duchu i odruchowo przykucnęła przy murze dzielącym dwa okna saloniku.

– … potrzeba nam pewności, że zmiana na tronie odbędzie się bez kolejnej wojny domowej, której wynik zawsze jest niepewny.

– Taką gwarancję da tylko śmierć Michała Korybuta, eminencjo.

– Zatem Bóg wybaczy nam, jeśli usuwając jednego człowieka, unikniemy większych ofiar i kosztów. Proponuję wybrać dyskretny sposób. Nazywają to „wdowia łza"…

Rozchwierutane okno znów trzasnęło.

– Bądź tak dobry i zamknij okiennice – poprosił de Bonzi z irytacją w głosie.

Charlotta przywarła do muru. Zasłona odchyliła się i za szybą ukazała się ręka. Spód dłoni mężczyzny przecinała wąska podłużna blizna. Prawdopodobnie pamiątka po garocie.

Okiennica zamknęła się cicho i zasłona wróciła na swoje miejsce. Charlotta odczekała chwilkę, po czym wycofała się skulona za narożnik tarasu. Tam wyprostowała się i szybkim krokiem dotarła pod przeszklone drzwi kancelarii.

Odetchnęła z ulgą na widok pustego miejsca za biurkiem, wsunęła się do ciepłego wnętrza i przekręciła zasuwkę. Nim zdążyła dopaść krzesła, wrócił sekretarz. Zamarł w progu i zmierzył Charlottę nieufnym spojrzeniem. Posłała mu niewinny uśmiech. W tym samym momencie rozwarły się podwoje prowadzące do samotni kardynała.

Eminencja zmierzył ją wzrokiem.

– Dobrze, że jesteś – rzekł krótko i zaprosił skinieniem dłoni do siebie.

Przeszli od razu do saloniku. Po rozmówcy kardynała nie było już śladu. Uznała, że wymknął się tylnym wyjściem. Jej samej w przeszłości zdarzało się korzystać z tego rozwiązania.

Eminencja spoczął w fotelu. Łaskawym gestem wskazał jej krzesło.

Wciąż było ciepłe od ciała tamtego człowieka.

– Chcę mieć pewność, że użyte środki nie zostaną zmarnotrawione przez naszych przyjaciół – oznajmił kardynał. – Będziesz mnie informować listownie o postępach w naszej sprawie.

– Jak eminencja rozkaże – zgodziła się bez wahania. – Obawiam się jednak, że ich osobiste ambicje są znacznie silniejsze niż lojalność wobec Francji.

Przez moment zdawało się, że kardynał de Bonzi się uśmiechnie.

– Taka jest natura polityki, moja droga. Rzucamy garściami złoto z nadzieją, że ludzie, którzy je przyjmą, będą pożądać go więcej i więcej. Chciwość to cecha, na którą zawsze można liczyć.

– Problem w tym, że zawsze znajdzie się ktoś, kto zapłaci więcej – zauważyła Charlotta.

– W takiej sytuacji najlepiej od razu podejmować zdecydowane działania. – W głosie eminencji zadźwięczała stal. – Zadbasz, aby nasi przyjaciele pozostali lojalni. Gdyby jednak rozsądek przegrał u nich z chciwością… Cóż… wiesz, co masz robić.

Charlotta zmusiła się do niewyraźnego uśmiechu.

– Wiem, eminencjo.

– Doskonale, nigdy w ciebie nie wątpiłem, moje dziecko.

Kardynał dźwignął się z fotela i podał jej dłoń. Charlotta popatrzyła mu w oczy i uklękła. Musnęła wargami pierścień z olbrzymim rubinem.

Był kimś więcej niż ojcem, którego niemal nie pamiętała.

Uważał się za jej Stwórcę.

Charlotta uśmiechnęła się w duchu na to zadufanie. Gdyby eminencja poświęcał więcej czasu na czytanie Biblii, odkryłby, że wszelkie stworzenie nosi w sobie ukrytą skazę nieposłuszeństwa.



ROZDZIAŁ I

Uciekinier

Grudzień A.D. 1671

Bogusław Tyner przedzierał się między drzewami, brodził po kolana w zwałach śniegu, ślizgał się na zmarzniętej ziemi. Cierpiał zimno, głód i strach. Wszystko po to, aby na koniec przekonać się, że nie wystarczy maszerować przed siebie, by uciec przed pechem.

Dysząc z wyczerpania, przywarł do pnia sosny. „Fortuna na mnie szcza", pomyślał i wlepił wzrok w położoną poniżej dolinkę, gdzie rozłożyła się sotnia – może jeden z oddziałów, przed którymi umykał od kilku dni. Kozacy byli zajęci przygotowywaniem posłań i ognisk. Widać było, że szykują się do spędzenia tam nocy.

Tyner poprawił futrzaną czapkę osuwającą mu się na oczy i rozejrzał się, szukając wart. Dostrzegł po trzech strażników czuwających przy obu wylotach dolinki. Kilku innych pełniło straż na skraju lasu po drugiej stronie niecki. Wartownicy uzbrojeni byli w rohatyny, szable i samopały. Tyner boleśnie przekonał się na własnej skórze, że Kozacy wiedzieli, jak ich używać.

Gdy dwie niedziele wcześniej jego oddział przekroczył granicę z Mołdawią, nic nie zapowiadało katastrofy. Posuwali się w stronę Suczawy, łupiąc i paląc wsie zwolenników hospodara, a za dnia zapadali się w gęste lasy Bukowiny. Tyner w skrytości ducha

zaczął wierzyć, że tym razem dopisało mu szczęście. Po powrocie planował za zdobyte łupy wydzierżawić folwark, może nawet założyć wymarzoną stadninę koni.

Lecz jak zawsze los zakpił z niego w okrutny sposób. Gdy wracali na polską stronę, podczas przeprawy przez Seret zaskoczył ich tatarsko-kozacki oddział.

Rozpętało się gwałtowne i krwawe starcie, a że sułtańskie kundle miały przewagę, resztki chorągwi rozproszyły się, szukając ocalenia w lasach. Jednak próbować wymknąć się Tatarom to jakby chcieć prześcignąć wiatr. Przez kolejne dni jego grupa, kilkunastu wymęczonych, owiniętych zakrwawionymi szmatami desperatów, kluczyła po górach, pohańcy zaś siedzieli im na karku niczym wilki podążające tropem krwi pozostawianym na śniegu przez ranną zwierzynę.

Dwa dni temu znów wpadli w zasadzkę. Jemu udało się przeżyć, co do pozostałych nie mógł mieć pewności.

Tyner poczuł gorzki smak w ustach. Sięgnął po bukłaczek i wyciągnął zatyczkę. Gorzałki nie zostało już wiele, tyle, co chlupotało na dnie. Pił ostrożnie, dbając, by nie uronić ani kropli. Odbiło się mu i odetchnął, czując, jak miłe ciepło spływa z przełyku do żołądka.

Przywiesił bukłaczek do pasa i ponownie popatrzył na sanie Kozaków ustawione w taki sposób, by tworzyły zagrodę dla koni.

W jego głowie pojawił się śmiały plan.

Zza ośnieżonych drzew i krzewów porastających łagodne zbocze sąsiedniego wzgórza wyłoniły się kolejne postacie dźwigające naręcza chrustu i gałęzi. Tyner przerwał obserwację Kozaków i zbadał wzrokiem stromy, oblodzony stok poniżej swojej kryjówki. Nie dostrzegł tam wartownika czy choćby śladów stóp na śniegu, jedynie tuż przy linii drzew kilka kruków żerowało na lisiej padlinie.

Wypuścił obłoczek pary z ust i jeszcze raz bacznie zlustrował błyszczące bielą kopce śniegu dzielące go od prowizorycznej zagrody dla koni.

Pokusa wykradzenia wierzchowca była nieodparta mimo wiążącego się z tym ryzyka. Postanowił spróbować, gdy tylko się ściemni. Szybko jednak stwierdził, że cierpliwość to stan, którego próżno wymagać od przemarzniętego na kość i głodnego człowieka. Ostatni skrawek suszonego mięsa zjadł zeszłego dnia rano i teraz kiszki skręcały mu się wściekle.

Na szczęście znów zaczął gęsto sypać śnieg. Kilka minut później obozowisko w dole utonęło w kurzawie. Tyner podrapał się po wilgotnym zaroście na szczęce. „Jeśli masz coś zrobić, zrób to, nim minie okazja". Tak mawiała jego żona. Gdy był młodszy, brał to za kobiece zrzędzenie, teraz, po latach, słowa te wydawały się mu bardzo prawdziwe.

Wynurzył się spod ośnieżonych gałęzi i chyłkiem ruszył w dół, chwytając się wystających korzeni drzew i skał. Starał się przemieszczać ukośnie po pochyłości, aby znaleźć oparcie dla stóp, aż ześlizgnął się na dno niecki, osłonięty przez kłębowisko ruchomych płatków. Przykucnął zesztywniały i bezgłośny przy śnieżnym kopcu, nasłuchując, jak Kozacy nawołują się przy ognisku.

Tyner wysunął się chyłkiem zza zaspy i zanurzył w wirującą biel i szarość. Szedł prawie na oślep. Lodowe płatki spadały mu na twarz, oblepiały brodę, wąsy i brwi, prószyły w oczy tak, że musiał osłaniać się ramieniem. Mimo to brnął dalej, zapadając się w śniegu, dysząc ciężko i wciąż zastanawiając się, czy idzie w dobrym kierunku.

Najpierw zobaczył zarys sań, a potem usłyszał parskanie uwiązanych tam koni. Przyczajony, zrobił jeszcze kilka kroków i dopadł osłony, za którą stały wierzchowce.

Przez jakiś czas znów nasłuchiwał głosów dochodzących z kurzawy. Niestety nie potrafił ustalić nic pewnego. Ostrożnie wystawił głowę nad drewnianą ramę. Najbliższe mu zwierzę wytrzeszczało na niego oczy i prychało parą. To była klacz, pod wierzch.

Pochylił się i wpełzł pod sanie, uważając, by nie uderzać szablą o płozy, a następnie wyczołgał się po przeciwnej stronie między

pęcinami wierzchowców. Nagłe pojawienie się człowieka zaniepokoiło klacz. Wierzgnęła, a jej przednie kopyto wybiło dołek w śniegu tuż przy twarzy Bogusława.

Poderwał się i uspokajającym gestem przyłożył dłoń do jej chrap. Klacz szarpnęła za powróz, ale po chwili pozwoliła mu się dotknąć. Szepcząc uspokajającym tonem, odwiązał powróz od sań i poprowadził zwierzę w kłębowisko śniegowych płatków. Pomimo braku siodła i strzemion zdołał wspiąć się na grzbiet konia i pognał cwałem w kierunku wylotu dolinki. Dystans między nim a obozem zwiększał się z każdym końskim skokiem. Bogusław wlepił wzrok w oślepiającą biel. Przy tej pogodzie wartownicy mieli niewielkie szanse na celny strzał. O ile dostrzegą go w kurzawie. Na razie nic tego nie zapowiadało.

Obejrzał się przez ramię, wciąż nie słyszał alarmu. Uśmiechnął się do samego siebie, choć bez szczególnej radości. Ostatecznie aż tak wiele się nie zmieniło, wciąż był głodny i zmarznięty.

A potem obrócił głowę i spojrzał.

Wprost na rohatynę wyrosłą z zamieci i trzymającą ją barczystą postać. Mgnienie oka przed tym, jak wąski grot przebił rozpędzoną klacz.

Zwierzę ze straszliwym kwikiem runęło na śnieg, spryskując go obficie krwią. Tyner mógł się jedynie zsunąć na bok i w ostatniej chwili podciągnąć kolana, ratując nogi przed zmiażdżeniem pod ciężarem wierzchowca. Gwałtowny upadek wydarł mu dech z piersi, a uderzenie w tył głowy niemal pozbawiło przytomności.

– Prawie się udało – wymamrotał, czując w ustach smak krwi z przygryzionego języka.

Usłyszał skrzypienie śniegu.

Nadchodziła jego śmierć. Od lat wiedział, że ta chwila kiedyś nastąpi. Właściwie to Tyner dziwił się, że tak długo udawało się mu jej uniknąć. Nie bał się. Nawet poczuł ulgę. Przymknął oczy, czekając, aż pochłonie go mrok.

Złe przeczucia

„Czemu po mnie nie wyjechał?" Niepokój szarpał sercem Marysieńki, odkąd przypłynęła do Gdańska i zamiast objęć długo niewidzianego męża otoczył ją tłumek kupców i rajców zabiegających o łaski pani hetmanowej. Zwykle cieszyła ją taka adoracja ze strony niezmiernie bogatych gdańszczan, lecz niespodziewana nieobecność męża była jak łyżka dziegciu, która zepsuła cały smak miodu.

Wytrwała w tym niepokoju dwa dni, po czym kazała służbie pakować bagaże na wozy i wyruszyła w drogę do domu.

– Może znalazł sobie kochankę – w końcu wyjawiła swój lęk na głos, zwracając się do podróżującej wraz z nią w karocy damy do towarzystwa.

Charlotta Mesire oderwała wzrok od książki, którą zaczęła czytać jeszcze na statku. Wydawało się, że nie przeszkadza jej kołysanie i ciągłe podskakiwanie karocy na wertepach, choć Marysieńka nie potrafiłaby się skupić w tych warunkach na przeczytaniu nawet jednej strony.

Charlotta odłożyła książkę na siedzenie.

– O ile sobie przypominam, latem sama namawiałaś go w listach, aby podczas kampanii wojskowej nie trwał w abstynencji pod twą długą nieobecność, gdyż to niezdrowe dla męża w sile wieku.

Marysieńka spojrzała ostro na Charlottę. Od służby, nawet tak zaufanej jak pani Mesire, nie oczekiwała napomnień.

– Nie mówię przecież o wojskowych ladacznicach – fuknęła z irytacją. – Tylko o czymś poważnym, jakiejś magnackiej suce, która omotała Jana swymi sztuczkami.

Charlotta pochyliła się ku markizie. Uspokajającym gestem położyła dłoń na futrzanej narzucie okrywającej jej nogi.

– Twój mąż jest zakochany w tobie po uszy, nie znam drugiej takiej miłości, z pewnością miał ważny powód, aby nie przyjechać. Zobaczysz, w Gniewie czeka na ciebie list od niego.

– Tak, na pewno – szepnęła Marysieńka i uściskała dłoń Charlotty w podziękowaniu za słowa otuchy.

Karoca znów potężnie zakołysała się na wyboju, co zburzyło ledwo poprawiony nastrój Marysieńki.

– Czy w tym kraju ktoś w końcu zadba o drogi!? – huknęła rozdrażniona. – Przecież to urąga wszelkiej przyzwoitości.

Charlotta zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

– Co cię tak drażni? Masz już miesięczne dolegliwości?

– Problem w tym, że nie dostałam krwawienia. – Marysieńka westchnęła i spojrzała w obity suknem sufit powozu.

– Och… Może to przez trudy podróży…

– Miejmy taką nadzieję – mruknęła Marysieńka i wlepiła wzrok w monotonny, okryty bielą pejzaż za oknem. Minęły ledwie dwa dni od wyjazdu z Gdańska, a ona miała już serdecznie dość podróży. Otuliła się szczelnie futrem, lecz ciepły ubiór nie mógł zastąpić przytulnego domu i filiżanki kakao wypitej przy ogniu rozpalonym w kominku.

Zresztą celowo czekała z powrotem do Polski, aż silny mróz zetnie jesienne roztopy. Bez tego utknęliby po osie w błocie już na Żuławach.

Latem mijany krajobraz mieniłby się od złota i srebra pól, kwietnych łąk i szumiących nad strumieniami drzew. Teraz jednak okolice zasnuwała przygnębiająca biel, od której odcinały się zgarbione sylwetki czarnego ptactwa.

Na szczęście po jakiejś godzinie kolebania się na bezdrożach dotarli do Gniewu, starostwa należącego do Sobieskich. W unoszącej się nad Wisłą mgle Marysieńka widziała zarys potężnego zamku z czterema wieżami i czerwoną bryłę kościoła odcinającą się na tle szarości i bieli.

Trakt polepszył się i konie pokłusowały w kierunku bramy prowadzącej za mury. Marysieńka z ciekawością obserwowała

witryny sklepów i ludzi, którzy przystawali na widok przemierzającej uliczką kawalkady. Ktoś z ciżby krzyknął na wiwat, ktoś inny podchwycił powitanie. Wnet na trasie przejazdu podniosły się okrzyki w niemieckiej mowie, która na całym Pomorzu była w powszechnym użyciu.

Jadący na przedzie dragoni zniknęli już pod masywnym łukiem bramy zamkowej, a po chwili koła karocy zaturkotały o brukowany dziedziniec.

Marysieńka i Charlotta wysiadły z powozu, gdy tylko woźnica wstrzymał zaprzęg. Na podwórcu rozbrzmiały pokrzykiwania czeladzi i woźniców próbujących zmieścić w ciasnej przestrzeni kilkanaście wozów, na których wieziono sprzęty i ubrania zakupione we Francji.

– Zadbaj, aby kufry od kardynała trafiły pod klucz – zwróciła się markiza do Mesire. – Przy drzwiach postaw straż.

– Zajmę się tym – odrzekła Charlotta.

Marysieńka z niechęcią rozejrzała się po malutkich oknach osadzonych w murach z czerwonej cegły. Zamek jak zawsze wywierał na niej ponure wrażenie, szczególnie o tej porze roku. Otuliła szyję kołnierzem futrzanego płaszcza i szybkim krokiem udała się do głównego wejścia.

W surowym holu zamiast podstarosty zastępującego w Gniewie jej męża przywitał ją ochmistrz. Niski, kulejący na lewą nogę mężczyzna ściągnął czapkę i padł do jej nóg, całując rąbek sukni.

– Czy komnaty gotowe? – wypaliła, nie hamując rozpierającej ją irytacji.

– Wydałem polecenia, jak tylko przybył goniec z Gdańska – zapewnił ochmistrz.

– Doskonale – mruknęła i ruszyła przez hol w stronę schodów prowadzących na piętro.

Surowe sale i wąskie korytarze przeznaczone niegdyś na potrzeby Krzyżaków były puste i nieogrzewane. W wielu miejscach dostrzegła pleśń, pajęczyny i kurz.

Starostwo zatrudniało zbyt mało urzędników i zbrojnych, aby tchnąć w gmach pełnię dawnego życia, a Jan nigdy nie był skłonny zatrudniać więcej służby, niż to konieczne. Nawyk oszczędności, graniczący ze skąpstwem, był cechą charakteru męża, której mimo wieloletnich starań nie potrafiła zmienić.

W Gniewie zajmowała zawsze te same komnaty, z własną łazienką i przytulną sypialnią. Obszerny salon miał wielkie okno o półkolistym sklepieniu, a z ciemnobrązowego belkowanego sufitu zwisał kandelabr z tuzinem świec. Kilka innych mosiężnych świeczników rozstawiono na biurku i kredensiku. Przy kominku stał wygodny fotel, w głębi pomieszczenia zaś znajdowała się sofa.

Mimo starań włożonych w urządzenie pomieszczenia Marysieńce nie udało się do końca wyeliminować surowego zakonnego ducha zasiedziałego w całym zamczysku.

– Pospiesz się z ogniem, zimno tu jak w psiarni – ofuknęła pokojówkę, która za pomocą miecha starała się rozdmuchać żar w kominku. Wyjrzała przez okno na podzamcze. Stały tam drewniane szopy i kilka domków służby.

„Gdyby zburzyć te domy, można by tam postawić wygodny pałac. Nie musiałabym się więcej zatrzymywać w tym ponurym gmachu". Ów pomysł nieco poprawił jej nastrój. Uniosła wzrok na płynącą trochę dalej Wisłę i ulokowany poniżej zamku port rzeczny, gdzie czekały na wywóz do Gdańska olbrzymie sterty desek i nieobrobionych pni. Rzeka wciąż nie pokryła się lodem, co umożliwiało kursowanie barek, lecz jednocześnie oznaczało, że podróżując na Ruś, będzie zmuszona korzystać z nielicznych mostów i promów.

Znów pomyślała o niepokojącym braku wieści od Jana. „Przecież pisałam, że wracam! Czemu więc go tu ze mną nie ma?"

Zacisnęła palce na szalu i zsunęła go z szyi. Z pomocą służącej pozbyła się futra z soboli i bawełnianej sukni, luźnej w talii i odrobinę krótszej z przodu.

– Daj to do prania – zarządziła. – I poproś *madame* Mesire, aby mnie odwiedziła.

Służąca dygnęła i opuściła komnatę, zamykając za sobą drzwi.

Marysieńka zatonęła w fotelu ustawionym naprzeciw kominka, pozbyła się butów i wyciągnęła zmarznięte stopy w stronę buzującego ognia. Ogarnęło ją przyjemne ciepło i poczuła ciążenie powiek, lecz nim zmęczenie wzięło górę, pojawiła się Charlotta.

Zdążyła już zmienić suknię. Nowa była jasnozielona i zapięta pod szyję, co uwydatniało zarys jędrnych piersi Charlotty. Czarne włosy nosiła krótko ścięte, dzięki czemu mogła wygodnie zmieniać peruki. Miała lekko zadarty nos i duże oczy, którymi spojrzała na Marysieńkę z nieodgadnionym wyrazem.

– Dowiedziałaś się, czemu podstarosta nie wyszedł mnie powitać?

Mesire zbliżyła się do kominka i ogrzała dłonie.

– Przewodniczy rozprawie sądowej w ratuszu – odparła. – Już go powiadomiono o naszym przybyciu.

– Co to za proces?

– O czary – wyjaśniła Charlotta. – Ale to nie wszystko. Od pokojówki dowiedziałam się, że w grę wchodziły też trucicielstwo i sodomia. Te oskarżenia jednak wycofano ze względu na reputację ofiary.

– Napiję się białego wina. Podasz mi kieliszek? – poprosiła Marysieńka i wskazała ruchem głowy kuferek stojący pod ścianą, gdzie trzymała oryginalne trunki z Barsac.

Tuzin butelek stanowił pożegnalny prezent od kardynała de Bonziego, który słusznie zauważył, że to, co w Polsce uważa się za wina francuskie, w rzeczywistości jest sikaczem doprawionym przez Holendrów, zanim towar dotrze do Gdańska.

Charlotta wyjęła ze skrzynki zakorkowaną flaszkę i dwa srebrne pucharki. Gdy napełniła je winem, jeden z nich podała markizie.

Marysieńka upiła łyk i z westchnieniem oparła się o zagłówek fotela.

– Boże, jak ja nienawidzę tego kraju – wyznała. – Od lat namawiam Jana do wyjazdu do Francji. Ale on zawsze znajduje powód, aby się opierać. Prawda jest taka, że zostanę tu z nim na zawsze. – Wychyliła resztę wina i wyciągnęła puchar ku Charlotcie. – Nalej mi jeszcze, proszę.

Mesire napełniła puchary. Przez chwilę wpatrywały się w ogień trzaskający w kominku.

– Tęsknisz czasem za domem? – zapytała Marysieńka.

Charlotta wzruszyła ramionami.

– Nie ma za czym – zwierzyła się ponuro. – Matka umarła, jak miałam jedenaście lat, a wuj, który mnie przygarnął… nie był dobrym człowiekiem.

Marysieńka z ciekawością zerknęła spod długich rzęs na swą towarzyszkę. Rzadko rozmawiały o przeszłości Charlotty.

– Wiele zawdzięczasz kardynałowi de Bonziemu – powiedziała.

– Ofiarował mi nowe życie.

Coś w głosie Charlotty podpowiedziało Marysieńce, że chwila szczerości minęła. Mesire, choć znały się od pięciu lat, wciąż była dla niej tajemnicą.

Markiza nie po raz pierwszy zastanowiła się, komu Charlotta jest naprawdę wierna. Sobieskim, kardynałowi, a może wyłącznie samej sobie? Na szczęście nie stanowiło to problemu, póki wszystkim przyświecał wspólny cel – obalenie Korybuta.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołała pani hetmanowa.

Z korytarza wsunął się wysoki mężczyzna w żupanie. Podstarosta miał pociągłą twarz i duże wąsiska, które w połączeniu ze smutnymi oczyma nadawały jego obliczu wyraz wiecznego zatroskania. Szlachcic zerknął niepewnie na dwie przypatrujące się mu damy i nerwowo zacisnął przed sobą dłonie.

Marysieńka nie dziwiła się nastrojowi zarządcy. Jego poprzednik wyleciał z urzędu na pysk za trwonienie dochodów oraz niedopatrzenia w księgach, więc podstarosta spodziewał się kontroli rachunków.

Jako że Jan miał na głowie zarząd nad wielkimi dobrami na Rusi, a do tego ostatnie lata wciąż trawił na wojnie, pani hetmanowa musiała wziąć na siebie nadzór nad majątkami na Pomorzu. Od początku nie czyniła tego z radością, zawsze wolała wydawać pieniądze, niż je liczyć, lecz zgodnie z wolą męża wywiązywała się skrupulatnie z powierzonego jej obowiązku.

– Wybacz, waszmość pani, że cię nie powitałem, lecz przewodniczyłem przesłuchaniu w sprawie gardłowej zbrodni i dopiero co…

– Ponoć chodzi o czary? – weszła mu w słowo Marysieńka.

Podstarosta posłał jej kolejne niespokojne spojrzenie.

– Nie tylko… – Zawahał się, niepewny, ile już wie pani hetmanowa. – Ten młodzik to czarna dusza. Oddawał się też trucicielstwu i sodomii.

– Człowiek o wielu talentach, już mi się podoba – zakpiła z sofy Charlotta.

Marysieńka zgromiła ją wzrokiem.

– Przyznał się do winy?

– A jakże. – W głosie podstarosty zagrała urzędnicza duma. – Jak tylko wzięliśmy go na męki, przyznał się niecnota do udziału w sabatach i chędożenia z diabłem pod postacią kozła.

Marysieńka obróciła puchar w dłoni.

– A do otrucia i sodomii? – zapytała od niechcenia.

Podstarosta drgnął i nerwowym ruchem przeczesał opadające wąsiska.

– Tu się wyparł, choć kat wykręcał mu kończyny w drabinie, a potem przypalał pachy ogniem. – Zgarbił się i pochylił konfidencjonalnie ku pani hetmanowej. – Otruty człowiek był szanowanym obywatelem, mistrzem cechu zegarmistrzowskiego. Zostawił żonę i czwórkę dzieci – wyjaśnił cichym głosem. – Po co roztrząsać sprawę, miłościwa pani? Wstyd i szkodę wdowie i sierotom czynić? Wystarczy, że winny zbrodni poniesie karę.

– Macie rację… – Marysieńka zamilkła na chwilę, tknięta ciekawym pomysłem. – Charlotto, chcę, abyś porozmawiała z tym młodzieńcem. – Wymieniła z dwórką znaczące spojrzenia.

Mesire skinęła głową. Podniosła się z sofy i wygładziła fałdki na sukni, po czym wyszła z komnaty, odprowadzona zdumionym wzrokiem przez podstarostę.

– Jak duży dochód przyniesie starostwo w tym roku? – zapytała pani Sobieska, przechodząc do rachunków.

– Dwakroć większy niż w zeszłym – oznajmił z dumą oficjalista. – Z tego będzie piętnaście tysięcy złotych ze sprzedaży zboża plus osiem tysięcy za woły, drewno, wosk i skóry.

Marysieńka uśmiechnęła się łaskawie, choć zysk pokrywał zaledwie kroplę w morzu potrzeb, w jakie wpędziły Sobieskich zniszczenia poczynione przez Kozaków i Tatarów w ich majątkach na Rusi.

– Doskonale się spisujecie. Przygotuj waszmość księgi rachunkowe, chcę w nie spojrzeć.

Podstarosta ukłonił się i opuścił komnatę.

Marysieńka została sama. Skuliła ramiona i spojrzała w ogień, zadając sobie pytanie, gdzie podziewa się jej mąż.

Gdy Charlotta dotarła pod ratusz, kupcy właśnie zamykali podwoje sklepów i kramów. Mróz i nadciągający wczesny zmierzch przepłoszyły kupujących i tylko przy ladzie bławatnika dwie kobiety w białych czepcach i czerwonych sukienkach pod płaszczami marudziły przy belach sukna.

Mesire wyszła z półkrytego powozu i nakazała towarzyszącemu jej wachmistrzowi, by zapukał do drzwi.

Cichoń chwycił kołatkę i uderzył trzykroć w okute drewno, wzbudzając zimny, hałaśliwy dźwięk. Musiała jednak minąć dłuższa chwila, nim przez wizjer wyjrzało czyjeś oko.

– Ratusz zamknięty na dziś – zaburczał ktoś z sieni. – Panowie rajcy zakończyli przesłuchanie.

– Otwieraj, my z polecenia pani hetmanowej Sobieskiej, która gości na zamku – zażądał Cichoń.

Rozległ się zgrzyt odsuwanego rygla i drzwi się rozwarły. Wyjrzał zza nich siwiejący mężczyzna z pokaźnym brzuchem, na którym nie dopinał się podbity baranicą kaftan.

– Jestem tu woźnym sądowym – wyjaśnił po niemiecku, widząc cudzoziemski strój Charlotty.

– Pani hetmanowa poleciła mi zobaczyć oskarżonego o czary – odparła Mesire również po niemiecku, który to język znała równie dobrze jak francuski i polski.

Woźny łypnął nieufnie na obcą mu damę, ale cofnął się od drzwi, mając przed sobą zwalistą sylwetkę Cichonia.

– Więzień jest w beczce – burknął, gdy Charlotta weszła do sieni ratusza. – Panowie rajcy łaskawi dla ścierwa, ja bym tam sodomitę ogniem ochrzcił. Niech wie, co go czeka w piekle.

Idąc przodem, doprowadził przybyszy do krętych schodów, którymi zeszli do piwnic gmachu. W podziemnym korytarzu migotał płomień samotnej lampki. Woźny zdjął kaganek ze ściany i poprowadził ich do masywnych żelaznych drzwi. Odszukał przy pasie odpowiedni klucz i weszli do katowni.

Charlotta ogarnęła spojrzeniem piwnice, starając się przywyknąć do półmroku. Sala tortur nie dorównywała ani rozmiarem, ani też wyposażeniem tej w Colmarze, gdzie trafiła wiele lat temu. Tu wyposażenie składało się ze stołu i krzeseł dla sędziów oraz pulpitu dla pisarza notującego zeznania. Na ścianie wisiał krucyfiks. Narzędzia tortur były dość prymitywne, co zresztą nie wykluczało ich skuteczności: ława do rozciągania stawów z metalowymi uchwytami na nogi i ręce, zwykła drabina i kocioł na wrzący olej. Dodatkowo na stole leżały ułożone starannie obcęgi, pilniki, imadła i kolczaste obroże. Charlottę przeszył paniczny lęk, odżyły dawno zatarte wspomnienia – upokorzenie, bezradność, strach i potworny ból.

Poczuła swędzenie nad obojczykiem, tam gdzie kat wypalił na jej skórze piętno hańby. Z trudem powstrzymała się przed podrapaniem starej blizny.

Zapragnęła natychmiast opuścić to okropne miejsce. Wyjść na świeże powietrze i mróz. Zapomnieć, co jej wówczas zrobiono.

Zacisnęła jednak zęby i ruszyła za woźnym, który zatrzymał się przy łukowatym przejściu prowadzącym do osobnego pomieszczenia i poświecił kagankiem, wydobywając z mroku ustawioną pionowo beczkę używaną do kiszenia kapusty.

– Tam siedzi – rzekł, najwyraźniej nie mając zamiaru uczynić kroku dalej.

Charlotta zerknęła na wystraszoną twarz mężczyzny. „Lęka się diabła", odgadła. Mesire nie miała podobnych obaw. Już dawno zrozumiała, że najgorsze zło czynią ludzie, na swój własny użytek.

Wyjęła woźnemu z dłoni kaganek i zajrzała do beczki. Wewnątrz znajdował się nagi mężczyzna. Sposób, w jaki go skrępowano, nie pozwalał mu stać ani siedzieć. Mógł jedynie klęczeć, co po paru godzinach wywoływało straszliwy ból mięśni, kolan i pleców.

Charlotta dotknęła dłonią ogolonej głowy skazańca, a ten drgnął i zaskomlał niczym zbity pies.

– Trzeba go stąd wyciągnąć – powiedziała twardo.

Woźny wytrzeszczył na nią oczy, jakby nagle dostrzegł rogi na jej głowie.

– To niemożliwe, pani, diabelski pomiot nie może mieć kontaktu z podłożem, gdyż moc swą czerpie z piekieł.

Charlotta zignorowała woźnego.

– Cichoń, wyciągnij tego biedaka – poleciła i cofnęła się.

Wachmistrz zerknął na nią ze zdziwieniem, nie zwlekał jednak z wykonaniem rozkazu. Zgarbił się nad beczką i silnymi rękoma wydobył szczupłą, bladą postać.

– Postaw go, chcę mu się przyjrzeć – nakazała Charlotta.

Więzień wykrzywił się z bólu, gdy ciężar jego ciała spoczął na spętanych, poranionych nogach. Zachwiał się, lecz wachmistrz przytrzymał go, chroniąc przed upadkiem.

Mężczyzna był zaskakująco młody, mógł mieć szesnaście, siedemnaście lat. Uznałaby go za ładnego, gdyby nie twarz ściągnięta bólem, napuchnięte fioletowo oko i rozkrwawione usta. Opuściła wzrok na szczupłą sylwetkę i ładne genitalia.

„Nada się", zdecydowała w myślach.

Charlotta zbliżyła się do nieszczęśnika, obserwując jego twarz. On również przyglądał się jej nieufnie spod opuchniętej powieki.

– Już dobrze. – Delikatnie dotknęła obrzmiałego policzka. – Zabiorę cię z tego miejsca.

Napuchnięta powieka drgnęła i w jasnobłękitnych oczach pojawił się cień nadziei.

– Co wy robicie!? – rozbrzmiał przerażony głos woźnego. – Uwalniacie diabelski pomiot! Tak nie można, przywołam straż!

Obrócił się na pięcie w stronę drzwi, lecz w tym samym momencie Mesire wykonała błyskawiczny krok w jego stronę i uderzyła obcasem buta w zgięcie kolana uciekiniera. Woźny krzyknął, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, i upadł na kolana, Charlotta stanęła nad nim i chwyciła za rzadkie włosy mężczyzny. Odchyliła jego głowę do tyłu, odsłaniając krtań. Wąskie ostrze sztyletu musnęło źle ogolony zarost na szyi woźnego.

– Nigdzie nie pójdziesz. Wykonuję wolę pani Sobieskiej. Piśniesz słowo, nim znajdę się na zamku, a sam wylądujesz w tej beczce. – Szarpnęła go z całej siły za włosy, aż mężczyzna zaskomlał. – Pojmujesz, co mówię?

– Pojmuję, pani, pojmuję – odparł, trzęsąc się jak galareta.

Charlotta cofnęła stal od jego gardła i ukryła sztylet w rozcięciu sukni, gdzie na udzie miała umocowaną pochewkę.

Zdjęła z ramion płaszcz i rzuciła Cichoniowi.

– Okryj go i zabieramy się z tej nory – syknęła z irytacją, po czym opuściła katownię, zostawiając woźnego na kamiennej podłodze.

Młodzik nie był w stanie wspiąć się po schodach o własnych siłach, więc wachmistrz wziął go na ręce i niósł aż do powozu czekającego pod ratuszem. Blade słońce zaszło już za horyzont i nad miasteczkiem rozpostarł się zimny mrok, toteż nikt nie zwrócił uwagi na potężnego mężczyznę wynoszącego z gmachu owiniętego w płaszcz człowieka. Charlotta poleciła ułożyć skatowanego młodzieńca na miękkim siedzeniu, a sama usiadła obok powożącego zaprzęgiem Cichonia.

Jechali niezbyt szybko, gdyż wąskie uliczki miasteczka były oblodzone i ciemne, lecz wydostawszy się na drogę prowadzącą do zamku, Cichoń strzelił z bata, poganiając konie.

Zatrzymali się dopiero na dziedzińcu. Charlotta zeskoczyła z ławeczki woźnicy, a wachmistrz wyciągnął młodzika z powozu.

– Umieść chłopaka w jednej z wolnych izb, lecz takiej z kratami w oknach – poleciła Charlotta. – Niech dadzą mu wieczerzę i wino, ale nieobficie, nie chcę, aby po głodówce dostał skrętu kiszek. Potem sprowadź medyka z miasteczka.

– Późno już – rzekł wachmistrz. – A i pewnie nie zechce przyjść do czarownika.

– To go wywlecz z domu, choćby był w samych gaciach. I wytłumacz mu, co go czeka, jeśli nie będzie trzymał gęby na kłódkę.

Cichoń łypnął na Mesire spod gęstych brwi.

– Jak sobie życzysz, waszmość pani – mruknął i dźwignąwszy młodzika, zaniósł go w stronę pomieszczeń dla czeladzi.

Charlotta skierowała się do głównego gmachu, w holu minęła służącą, która czyściła na kolanach podłogę, i po dotarciu pod komnatę pani Sobieskiej otworzyła drzwi, nie pukając.

Marysieńki nie było w salonie. Charlotta dostrzegła jednak suknię i bieliznę ułożone na sofie. Odgadła, że Maria bierze kąpiel. Jak na Francuzkę czyniła to bardzo często, czasem aż kilka razy w tygodniu, co nawet w Polsce uważane było za szkodliwą dla zdrowia fanaberię. Charlotta przypuszczała, że zwyczaj ten wziął się u Marysieńki z czasów, gdy była panią Zamoyską i po każdej nocy spędzonej ze wstrętnym jej mężem zmywała z siebie wspomnienie jego dotyku.

Zrzuciła ciepłe okrycie, przewiesiła je przez poręcz fotela i podeszła do łazienki.

– Mogę? – zapytała przez drzwi.

– Proszę, wejdź.

Nacisnęła klamkę i wsunęła się do spowitego parą pomieszczenia. Maria Kazimiera leżała naga w obszernej wannie, którą jakiś czas temu kazała sprowadzić z Gdańska. Charlotta zagryzła wargę, obserwując biel skóry i kobiece kształty zanurzonego w wodzie ciała swej pani.

Gdy weszła do łazienki, pokojówka właśnie przelewała ukrop z wiadra do wanny za pomocą wielkiej chochli.

– Odejdź, ja to skończę – poleciła służącej Mesire.

Pokojówka dygnęła i wyszła. Usłyszały odgłos towarzyszący zamykaniu drzwi komnaty.

Marysieńka wynurzyła się z gorącej wody. Usiadła. Jej piersi odzyskały kulisty, jędrny kształt.

– Jak tam nasz czarownik? – zapytała.

– Atrakcyjny, jeśli odjąć opuchliznę.

– Bardzo go uszkodzili?

– Wyliże się.

– Dobrze.

Rozległo się natarczywe pukanie do drzwi komnaty.

– Sprawdzę, co się stało – rzekła Charlotta.

Maria skinęła głową i zanurzyła się w ciepłej wodzie.

Mesire, wyjrzawszy na korytarz, zobaczyła ubłoconego szlachcica. Mężczyzna wyglądał, jakby odbył długą podróż, i to w wielkim pośpiechu.

– Mam list od pana hetmana do jaśnie pani – wypalił posłaniec, sięgając do skórzanej torby przewieszonej na ukos przez pierś.

– Pani zażywa kąpieli. Przekażę jej pismo. – Charlotta zdecydowanym gestem wyciągnęła kopertę z dłoni szlachcica. – Udajcie się waszmość do kuchni, tam dostaniecie wieczerzę. Polecę, aby przygotowano dla was łóżko.

Posłaniec oddalił się i Charlotta zamknęła drzwi. Z niepokojem zerknęła na zalakowany list. Miała przeczucie, że nie zawiera nic dobrego. Wróciła do łazienki.

– List od twego męża – oznajmiła.

Maria poderwała się z wanny i całkiem mokra i naga stanęła na podłodze. Charlotta podała jej domową szatę, a potem pismo.

Marysieńka złamała lakową pieczęć i rozwinęła kartę sztywnego papieru. Gdy tylko zaczęła czytać, jej twarz przyoblekło przerażenie.

Przeszła do komnaty i rzuciła list na stolik. Charlotta podążyła za nią.

– Co się stało? – zapytała.

– Jan ciężko zachorował, medycy obawiają się o jego życie – odparła Maria załamującym się głosem.

Charlotta przeczytała list. Opisano w nim wrzód na gardle, gorączkę i bóle głowy. Nie brzmiało to dobrze.

– Bez Jana wszystko będzie stracone. – W głosie Marysieńki pobrzmiewała panika. – Nie będę potrzebna kardynałowi, Ludwikowi. Nikomu! – Spojrzała na Charlottę nieprzytomnym wzrokiem. – Muszę jechać na Ruś zobaczyć się z nim – zdecydowała.

– A co z Prażmowskim? – zapytała trzeźwo Mesire.

– Ty się z nim spotkasz. Dostaniesz eskortę. Ja udam się krótszą drogą przez Mazowsze.

Marysieńka roztrzęsiona przyłożyła dłoń do czoła.

– Pomódl się ze mną o wyzdrowienie dla Jana – poprosiła ze łzami w oczach i padła na kolana przed świętym obrazem.

Charlotta uklękła przy Marii i przyłączyła się do modlitwy, choć wiarę utraciła już dawno temu, w przytułku dla sierot, gdy ksiądz rozbierał ją do naga i robił jej złe rzeczy.

Powtarzała jednak słowa litanii, zlecono jej bowiem służyć i okazywać swej pani przyjaźń.

Pierwsza krew

Pasmo Wogezów, Alzacja A.D. 1659

Przez krótki moment zza chmur rozbłysło słońce, rozjaśniając na złoto i czerwono jesienne korony buków rosnących na skraju górskiego cmentarza.

Wokół świeżo wykopanego grobu zebrała się garstka ludzi. Kilka kobiet, brat zmarłej i chuda jedenastoletnia dziewczynka. Nikogo

więcej nie interesował pochówek biednej wdowy gospodarującej na spłachetku kamienistej ziemi.

Charlotta zacisnęła zęby i wygięła usta w podkówkę. Po jej wychudzonych policzkach spłynęły strużki łez. Śmierć matki przyszła zbyt niespodziewanie, aby mogła to zaakceptować. Pierwsze bóle pojawiły się u niej zaraz po zbiorach, a dwie niedziele później zaniemogła i trzeba było posłać po znachorkę. Mimo ziół i guseł staruchy matka szybko gasła i nim minął nów, spoczęła w zimnym dole. Kiedy stało się jasne, że umrze, posłała wiadomość do wuja Gastona żyjącego samotnie w górach.

Charlotta nigdy wcześniej go nie widziała. Gdy przybył, wystraszyła się tego wielkiego ogorzałego mężczyzny odzianego w skóry. Był zarośnięty, mrukliwy i cuchnął, jakby od miesięcy nie chodził nad strumień. Musiał wędrować pieszo, bo jego strój pokrywały plamy błota po długiej przeprawie przez góry.

Zdążył jeszcze porozmawiać z matką, nim zmarła. Po tym, jak zerkali w jej stronę, Charlotta domyśliła się, że mówią o niej. Później matkę chwycił ból i znachorka musiała podać jej napar.

Zasnęła i więcej się nie obudziła.

Grabarz skończył usypywać kopczyk, a potem wbił weń prosty drewniany krzyż. Na grobie nie było imienia ni nazwiska. W okolicy nie znalazł się nikt potrafiący pisać. Mógł to zrobić proboszcz z najbliższej osady, ale odjechał zaraz po tym, jak odebrał kilka miedziaków i gęś za ostatnie namaszczenie.

Nikt też nie przejął się losem osieroconej dziewczynki, zwłaszcza że miała wuja, który się nią zaopiekuje.

Gaston przeżegnał się, a potem podszedł do niej i wskazał na wóz.

– Już czas – mruknął.

W jego głosie wyczuła irytację, jakby ktoś właśnie wcisnął mu chorego psa. Spuściła głowę i poczłapała za swym nowym opiekunem.

Cały jej skromny dobytek, wszystko, co warto było zabrać, mieścił się na tym wozie. Chatę i ziemię po matce wuj sprzedał jednemu z sąsiadów. Charlotty nikt nawet nie zapytał o zgodę.

Wuj chwycił ją nisko za biodra i podsadził na ławkę woźnicy. Potem przysiadł się do niej ze stęknięciem. Cmoknął na klacz i ruszyli w drogę.

Jechali dwa dni, noc spędzili przy ogniu rozpalonym na leśnej polanie. Przez całą podróż wuj Gaston nie odzywał się wiele, głównie garbił się na ławeczce woźnicy i potrząsał lejcami, aby popędzić starą chabetę.

Nowy dom Charlotty położony był na odludziu w dolinie chronionej przez stare lasy i strome granie. Chata zbita z ociosanych bali i kryta mchem wywarła na dziewczynce ponure wrażenie. W izbie znajdowało się niewiele sprzętów: stół, zydel i ława ustawiona przy palenisku, a także wielki kufer z kłódką przysunięty do ściany. Było też tylko jedno łoże.

Na wieczerzę wuj postawił na stole dzban i bochen. Strasznie głodna dziewczynka oderwała kawał chleba i zatopiła w nim zęby. Był twardy, ale w połączeniu z piwem doskonale zapełniał żołądek.

Nim się zorientowała, jej kubek był pusty. Wuj Gaston napełnił go ponownie. Charlotta przytknęła wargi do szorstkiej krawędzi i pociągnęła łyk. Piwo było smaczne, choć na zębach i języku zostawały strzępy drożdży. Poczuła, że kręci się jej w głowie.

Wuj skończył posiłek i wstawszy od stołu, od razu ułożył się w łożu. Zabrała się do sprzątania, lecz przeszkodził jej jego głos:

– Posprzątasz jutro, kładź się na posłanie.

Charlotta zamarła. W ubogich rodzinach dzieci zwykle spały na jednym posłaniu z rodzicami, ale z jakiegoś powodu czuła, że nie powinna być tak blisko Gastona.

Uniosła wzrok i spojrzała w brodatą twarz.

– Prześpię się na stryszku – oznajmiła.

Na wuju Gastonie nie zrobiło to wrażenia.

– Zaziębisz się tam jeszcze i skończysz jak matka. – Klepnął dłonią w posłanie. – Tu będzie nam cieplej.

Podeszła posłusznie do łóżka i wgramoliła się na trzeszczący siennik. Wuj nakrył ją narzutą z wilczych skór i odwrócił się do niej plecami.

Leżała bez ruchu, wsłuchana w jego ciężki oddech, który szybko zmienił się w pochrapywanie i mlaskanie. Dopiero wówczas się uspokoiła. Chciała zasnąć, lecz wciąż myślała o matce. W końcu, gdy palenisko zaczęło przygasać, zapadła w niespokojny sen.

Obudził ją odgłos krzątaniny.

Wuj Gaston był już na nogach. Widząc, że otworzyła oczy, wskazał na wiaderko.

– Przynieś wody ze strumienia. Jak się wsłuchasz, usłyszysz jego szmer.

Zerwała się z posłania i chwyciła za wiadro. Gdy znalazła się przed chatą, zaskoczyło ją, jak wysoko jest słońce. Matka zawsze budziła ją przed świtem, aby oporządziła zwierzęta.

Nadstawiła uszu i rzeczywiście dobiegł ją szmer płynącej wody. Skierowała się w stronę delikatnego dźwięku.

Strumień płynął płytkim jarem ukrytym w krzakach. Charlotta napełniła wiaderko i postanowiła się obmyć. Zrzuciła sukienkę i pospiesznie ochlapała się w zimnej wodzie. Kiedy drżąca wyszła na brzeg, zobaczyła wuja Gastona przypatrującego się jej z krawędzi jaru.

Zawstydzona chwyciła sukienkę i zakryła swoją nagość.

Wuj pokazał jej sidła i zaklekotał nimi.

– Wrócę pod wieczór – rzekł, po czym zniknął za krzakami.

Gdy powrócił z lasu, trzymał w ręku królika. Kiedy indziej przynosił sarnę lub ptactwo, którego nie brakowało w okolicznych lasach.

Już po kilku dniach Charlotta zrozumiała, że wuj Gaston nie jest zwykłym wieśniakiem harującym w polu na kawałek chleba. Nigdy nie widziała, aby pracował na roli. Prócz klaczy, wieprzka i kur nie trzymał zwierząt, a i tymi musiała zajmować się Charlotta.

Czasem prócz schwytanych w sidła lub upolowanych zwierząt znosił do chaty różne przedmioty: ubrania, buty, niekiedy płaszcz. Kilka razy zauważyła na tych strojach ciemne plamy krwi, lecz nigdy nie pytała, co się stało.

Mijały tygodnie i miesiące, Charlotta przywykła do milkliwego usposobienia wuja, nawet zaczęła czuć się szczęśliwa.

W przeciwieństwie do matki Gaston nigdy nie podniósł na nią ręki czy choćby głosu.

Codziennie uczyła się czegoś nowego. Jak oskórować zwierzę, zasolić czy uwędzić mięso, przygotować sidła. Gdy przyszły mrozy i zostali odcięci od świata przez śnieg, wuj nauczył ją tropić zwierzynę, posługiwać się kuszą i łukiem.

Po zimie nadeszły wiosna i lato. Minął rok od śmierci matuli, ale Charlotta nie czuła już w sercu żalu. Życie z wujem wydawało się lepsze i szczęśliwsze.

Gaston znów zaczął znikać na całe dnie, a gdy wracał, zawsze miał ze sobą jakieś przedmioty. Odzież zwykle chował w kufrze, mniejsze drobiazgi oraz monety wynosił do lasu. Charlotta któregoś dnia poszła za nim i zobaczyła, jak ukrywa zawiniątko w dziupli drzewa.

Raz na kilka tygodni pojawiał się w ich domu handlarz z mułem. Przybywał z niemieckiej strony granicy i nigdy nie zostawał na noc. Płacił Gastonowi za ubrania i przedmioty, po czym pakował je na muła i odjeżdżał.

Nie wszystkie rzeczy trafiały na sprzedaż. Niekiedy wuj zostawiał sobie buty, kaftan czy płaszcz. Raz podarował Charlotcie naszyjnik ze srebrnych kulek, kiedy indziej pierścionek ze świecącym oczkiem – cuda, jakich nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Najwspanialszym jednak prezentem okazał się sztylet o pięknej, smukłej klindze. Tak długi jak jej ramię.

– To lewak używany przez szlachtę – wyjaśnił wuj. – Ale możesz się nim posługiwać prawą ręką. O tak! – Wykonał błyskawiczne pchnięcie w powietrze. – Jesteś mniejsza i lżejsza niż mężczyzna i zawsze tak będzie – oznajmił, wręczając jej sztylet. – To twoja słabość, ale możesz ją zamienić w zaletę. Udawaj zlęknioną i słabą, spuść wzrok i czekaj na okazję, aby wbić ostrze. Większość mężczyzn nie spodziewa się zginąć z ręki kobiety.

Przez cały następny rok ćwiczyła tym ostrzem ataki, zwody i zasłony. Gaston nie był delikatnym nauczycielem, wiele razy krwawiła z nosa i ust, siniaki niemal nie znikały z jej ciała. Ono

zresztą się zmieniało, Charlotta rosła i jej dawniej chuda sylwetka zaokrągliła się w paru miejscach.

Ze zdumieniem i niepokojem zaczęła obserwować u siebie zaczątki piersi i meszek pojawiający się na podbrzuszu. Pewnego ranka zaś obudziła się z krwią na udach.

Na szczęście Gaston był na wyprawie, jak określał swe kilkudniowe wypady. Wystraszona dziewczyna spaliła szmaty, lecz nie mogła ukryć plam na sienniku.

Wuj dostrzegł je niedługo po powrocie. Czerwieniąc się, wyjawiła mu, co się stało. Gdy zapytała, czy umrze, roześmiał się ochryple.

– Jesteś gotowa do przysposobienia – rzekł i zabrał się do przeżuwania chleba. – Teraz będzie się tak działo co nów, chyba że zalęgnie się w tobie dziecko.

Nie miała pojęcia, o czym mówi, ale prawdę powiedziawszy, wystraszył ją.

Całe szczęście Gaston nie wracał już do tego tematu, a krwawienie ustało po kilku dniach.

Coś się jednak zmieniło. Wuj stał się jakiś inny, patrzył na nią w szczególny sposób, a gdy kładli się spać, czuła jego dłoń na brzuchu i piersiach. Było to dziwne, niepokojące, ale i przyjemne.

Minął tydzień od tamtej rozmowy, nim po raz pierwszy położył się na niej. Był silny i ciężki, przeraził ją. Zupełnie nie wiedziała, co się dzieje i jak ma się zachować. Leżała nieruchomo, zaciskając usta z bólu i czekając, aż skończy. Potem znów miała krew między nogami i bolało ją tam.

– To tylko za pierwszym razem – pocieszył ją Gaston. – Z każdym kolejnym będzie lepiej, aż sama to polubisz.

Po kilku chwilach chrapał już odwrócony do ściany.

Przez następne dni nie odzywali się do siebie wiele, lecz gdy zapadał zmrok, znów kładł się na niej, sapiąc i podrygując.

Z czasem przywykła i rzeczywiście zaczęła odczuwać przyjemność z tego, jak się w niej poruszał. Jednocześnie tkwiła w niej zadra. Przeczucie, że to, co jej robi, jest złe. Mogła uciec i czasem

zastanawiała się nad tym, ale nie zdecydowała się na taki czyn. Za nic nie chciała zostać sama.

Nastała jesień, znów malując złotem i brązami bukowe lasy porastające stoki Wogezów. Od wysokich szczytów Szwajcarii, gdzie gromadził się już śnieg, napływała mgła, wypełniając doliny mleczną zawiesiną.

Gaston zaczął przygotowania do zimy, która zwykle odcinała ich od świata na wiele miesięcy. Spędzał czas głównie na kłusownictwie, aby zgromadzić jak najwięcej zapasów na mroźne dni. Charlotta zbierała grzyby, jadalne korzenie i bulwy. Kiedy Gaston powracał, razem solili lub wędzili dziczyznę.

Gdy zaczęły spadać liście, ich spiżarnia była niemal pełna. Brakowało im jednak garnków, ubrań, ciepłych butów i dobrego krzesiwa, gdyż stare zużyło się i nie iskrzyło jak należy. Wszystkie te rzeczy miał dostarczyć handlarz, który odbierał od wuja łupy z jego tajemniczych wypraw.

Gałęzie potraciły większość listowia, a handlarz wciąż się nie pojawił. Gaston co dzień wspinał się na grań wznoszącą się niedaleko chaty i patrzył na drogę, która wiodła od dolin nad Renem. Wracał pochmurny i choć nic nie mówił, Charlotta wiedziała, że trapią go zmartwienia.

– Jutro wezmę towar i udam się do miasteczka – oznajmił któregoś razu, gdy siedzieli przy palenisku. – Nie będzie mnie kilka dni. Pilnuj domu i nie oddalaj się.

Rankiem zaprzągł do wozu kobyłę i odjechał dróżką w stronę doliny.

Minął siódmy dzień, a Gaston nie wracał. Charlotta się martwiła. Nocami robiło się już naprawdę zimno i musiała dokładać więcej drewna do ognia. Rankiem jak co dzień wyszła z wiadrem nad strumień.

Ciżmy, które Gaston kupił dla niej zeszłej zimy, były już za małe. Maszerowała więc boso, podskakując na ostrych i zimnych kamieniach. Kucnęła przy brzegu, wzdrygając się od lodowatej wody omywającej jej stopy, i przechyliła wiadro.

Wtedy usłyszała grzechotanie toczących się kamyków. Uniosła głowę i zobaczyła dwóch mężczyzn wybiegających zza głazów po drugiej stronie strumienia. Obaj nosili napierśniki i lśniące hełmy, w dłoniach trzymali rapiery.

Charlotta błyskawicznie porzuciła wiadro i zaczęła biec w stronę domu. Nie oglądając się za siebie, wpadła na podwórze.

Rozejrzała się. Było puste.

Dopadła do chaty i pociągnęła do siebie drzwi z całej siły. Po drugiej stronie czekał na nią żołnierz. Dostała pięścią w twarz i wywróciła się na ziemię.

Mężczyzna chwycił ją za włosy i wciągnął do chaty.

Oprzytomniawszy, zorientowała się, że jest ich trzech. Człowiek, który dowodził żołnierzami, prócz napierśnika nosił strój szlachcica, wysokie buty, kaftan z miękkiej skóry i spodnie z jasnokremowego sukna. Z ramion spływał mu ciepły płaszcz. Ciemne, blisko osadzone oczy przypatrywały się jej obojętnie.

Twarz mężczyzny zmieniła się dopiero wówczas, gdy jeden z żołnierzy przyniósł mu sztylet – lewak podarowany jej przez Gastona. Przez chwilę przypatrywał się mu z uwagą, po czym wsunął go za pas, obok własnego sztyletu.

– Kim jesteś dla zbója, który tu mieszka? – zapytał.

– Córką – okłamała go bez wahania, wstydząc się tego, co było między nią a Gastonem.

– Twój ojciec Gaston Mesire został pochwycony i skazany na śmierć przez rozczłonkowanie – oznajmił cichym, lecz mocnym głosem oficer. – Zamordował wielu ludzi, pielgrzymów, kramarzy, a nawet szlachcica. Czy wiedziałaś coś o tym procederze?

– Nie, panie, przysięgam! – wyrzuciła z siebie Charlotta, nim strach odebrał jej śmiałość.

Oficer zmierzył ją spojrzeniem zimnych oczu.

– Pojedziesz z nami i także staniesz przed sądem.

Potem więcej się nią nie interesował.

Gdy żołdacy zdemolowali izbę w poszukiwaniu ukrytych skarbów, szlachcic kazał im wywlec dziewczynę na dwór i podpalić

chatę. Spętali jej nogi i nadgarstki, wsadzili na konia i powieźli do doliny. Przed zmierzchem zatrzymali się w dużej wsi położonej nad niewielkim dopływem Renu.

Charlottę zamknięto w przybudówce za domem wójta, gdzie zatrzymał się na noc oficer. Zdjęto jej pęta, a na kolację dostała pajdę chleba i kubek wody. Potem trochę płakała, nim skuliła się na słomie i zasnęła.

Obudził ją odgłos towarzyszący otwieraniu ciężkich drzwi. Zmrużyła oczy oślepiona blaskiem lampy trzymanej przez jakiegoś człowieka. Po chwili rozpoznała w przybyszu szlachcica. Był pijany i patrzył na nią w ten szczególny sposób.

– Spróbuj się opierać, a poderżnę ci gardło – wychrypiał i dotknął dłonią sztyletu, który trzymał za pasem. – Wcześniej jednak pozwolę cię zerżnąć moim ludziom, a także każdemu, kto tylko będzie cię chciał w tej wsi.

Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że gotów jest spełnić swą groźbę.

– Będę uległa – obiecała. Przekręciła się na plecy i sama podciągnęła sukienkę.

Szlachcic odstawił lampę pod ścianę, zrzucił pelerynę z ramion i rozpiął spodnie. Oburącz rozchylił jej nogi i położył się na niej całym ciężarem. Nie opierała się, pozwoliła mu wejść do środka, ignorując chrapliwy oddech i ciężar wgniatający się w jej piersi i brzuch.

Całą uwagę skupiła na sztylecie dyndającym przy każdym ruchu jego bioder. To było ostrze Gastona, rozpoznała je od razu. Wtedy też podjęła decyzję.

Szlachcic przyspieszył, ciężko dysząc jej w szyję. Poczuła, jak drży, napina się tuż przed końcem.

Chwyciła za rękojeść sztyletu i wbiła ostrze pod żebra mężczyzny, tak jak uczył ją wuj. Szlachcic stęknął i poderwał głowę, wlepiając w nią zdumiony wzrok. Widząc, jak życie gaśnie w jego oczach, pomyślała, że Gaston miał całkowitą słuszność. Większość mężczyzn nie spodziewa się zginąć z ręki kobiety.

Wydostała się spod ciężkich zwłok i spojrzała na sztylet. Z ostrza kropla po kropli skapywały na słomę ciężkie krwawe łzy.

Zamordowała człowieka, co gorsza, szlachcica. Kara była za to jedna: śmierć.

Cała się trzęsła. Jej żołądkiem targnął bolesny skurcz. Szybko przyłożyła dłoń do ust, powstrzymując wymioty. Przełknęła gorzką ślinę i zaczerpnęła kilka głębszych wdechów. Spojrzała na drzwi.

Zaciskając palce na sztylecie, wyjrzała na korytarz. W nisko sklepionym przejściu tliła się pojedyncza lampka przymocowana do ściany. Nie dostrzegła strażnika. Domyśliła się, że oficer odesłał go, aby nikt nie mógł zaświadczyć, co jej zrobił.

Gdzieś zza murów przesączały się chrapliwe męskie głosy i śmiechy. Przymknęła drzwi, wróciła do szlachcica i odcięła mu sakiewkę od pasa. W środku błyszczało kilka srebrników i sporo miedziaków. Podniosła pelerynę, otrzepała ze słomy i narzuciła sobie na ramiona. Okrycie było o wiele za duże jak na jej szczupłą sylwetkę, podwiązała więc materiał w pasie, aby nie plątał się jej między bosymi stopami. Potem wymknęła się na korytarz. Przechodząc, zdmuchnęła płomień w lampce.

Drzwi na zewnątrz były tylko przymknięte. Pchnęła je i wydostała się na zimne powietrze.

Las był niedaleko, to tam zamierzała się ukryć. Zdołała przejść kilkanaście kroków, gdy z budynku wyszedł mężczyzna. Charlotta błyskawicznie przypadła do poidła dla koni i skuliła się za drewnianą osłoną. Mężczyzna kołysał się lekko. Nie widziała jego twarzy, ale słaba poświata księżyca odbijała się na jego napierśniku. Przeszedł obok niej i zatrzymał się pod otwartym chlewikiem. Tam chwilę szamotał się z pasem i portkami, mrucząc pod nosem przekleństwa. Potem kucnął odwrócony do niej plecami.

Charlotta zacisnęła nerwowo dłoń na poidle. W każdej chwili mogli się pojawić inni strażnicy lub jakiś wieśniak, którego przypiliła natura.

Nie mogła dłużej zwlekać.

Gdy podjęła decyzję, wszystko poszło już łatwo. Chyłkiem wydostała się zza poidła i zrobiwszy kilka szybkich kroków, stanęła nad strażnikiem. Nawet jej nie usłyszał.

Bez wahania wbiła mu ostrze w bok szyi. Stal zagłębiła się w miękkie ciało z wilgotnym mlaśnięciem. Żołdak padł twarzą w gnojówkę, błyskając wypiętymi pośladkami.

Charlotta, nie oglądając się za siebie, zaczęła biec w stronę lasu. Ból pod żebrami palił ją, odbierał dech, mimo to nie zwalniała kroku. W końcu dopadła pierwszych drzew. Dysząc, przywarła do chropowatego pnia jodły i z napięciem obejrzała się za siebie. Nikt jej nie ścigał. Przynajmniej na razie.

Wiedziała, że rankiem puszczą za nią psy. Do tego czasu musiała przejść rzeczkę. W wodzie zwierzęta zgubią trop.

Odgarniając gałęzie i klucząc między pniami, zaczęła bieg ku wolności.

Stare grzechy

Grudzień A.D. 1671

Przy każdym ruchu wierzchowca głowę Tynera rozsadzał pulsujący ból, a obite podczas upadku żebra kłuły, jakby ktoś wbijał mu pod skórę igły. Na szczęście przestał wymiotować, co oznaczało, że upadek nie wyrządził w jego czaszce wielkich szkód.

Kozacy bardzo się spieszyli. Gdy tylko przeprawili się przez granicę na Dniestrze, cały dzień gnali wierzchowce przez białe pustkowia stepu, aby pod wieczór móc dotrzeć nad Boh.

Tyner nie dziwił się pośpiechowi. Cały ten teren został latem i jesienią opanowany przez Polaków i sprzymierzonych z nimi Kozaków hetmana Chanenki. Na próżno jednak wypatrywał patroli wysłanych z polskich garnizonów. Napotkali wyłącznie watahę

wilków przypatrującą im się ze szczytu kurhanu i zdziczałe konie szukające pokarmu na skraju lasu.

Pierwszy postój wypadł przed południem, na polanie między ośnieżonymi dębami. Setnik Kozaków wysłał zwiadowców, a gdy ci powrócili, oddział ruszył w dalszą drogę. Wkrótce natknęli się na zamarznięty strumień i podążyli jego brzegiem przez płytkie jary i dolinki, w których stały porzucone lub spalone chłopskie chaty. Otaczająca ich zewsząd pustka przerażała i brzęczała złowrogo w uszach. Nigdzie nie dostrzegli żywej duszy, widać było za to mnóstwo obsypanych śniegiem mogił.

Pierwsza wieś, którą napotkali, była do szczętu zniszczona. Pośrodku osady stała karczma, teraz spalona i z rozwalającymi się ścianami. Nie wiadomo, przed kim zbiegli chłopi – przed Tatarami, Polakami czy swoimi. Tyner widział już tysiące takich miejsc, jak Ukraina długa i szeroka. Przez ciągłe wojny zasobny kraj zmienił się w spływające krwią pustkowie.

Setnik zarządził postój i Kozacy rozbiegli się po chatach, szukając jam, w których mogła pozostać ukryta przez chłopów żywność.

Jeden ze strażników, ponury drab z ospowatą twarzą i płaskim nosem, rozsupłał więzy mocujące jeńca do wierzchowca, a potem ściągnął go bezceremonialnie z siodła. Tyner grzmotnął bezwładnie na śnieg i leżał tam chwilę, pojękując z bólu i wciskając czoło w lodowaty puch.

– Ostrożnie z nim. Musi wyżyć – rozległ się karcący głos setnika.

Tyner, mając ręce skrępowane na plecach, podniósł się niezgrabnie na kolana, a następnie powstał na nogi.

– Odprowadź go do tamtej chaty – polecił strażnikowi setnik, wskazując jedną z lepiej zachowanych chałup.

Tyner usiadł w pustej izbie pod ścianą, z dala od dziury zastępującej okno, która w niej ziała. Obolały i głodny spróbował zasnąć, lecz zapadł tylko w rwaną, niespokojną drzemkę.

Zmierzchało już, gdy wśród Kozaków zrobiło się małe zamieszanie. Zjawił się strażnik i kazał jeńcowi wstać z klepiska, po czym wyprowadził go z chałupy. Tyner ujrzał grupę sześciu Tatarów

pojących bachmaty przy strumieniu. Setnik rozmawiał z młodym wojownikiem w baranim kożuchu, uzbrojonym w kindżał i szablę. Po postawie i ubiorze widać było, że Tatar musiał należeć do szlachty ordyńskiej.

Strażnik Tynera pchnął go w stronę stojącego spokojnie wierzchowca. Pomógł więźniowi wspiąć się na siodło, a potem przywiązał mu nogi sznurem do popręgu.

Setnik powrócił do swych ludzi podenerwowany. Tyner nadstawił ucha. Ze strzępów rozmowy przywiewanych przez wiatr wysnuł domysł, że w Humaniu wybuchła jakaś rebelia przeciw Doroszence i Polacy mimo zimy przeszli na drugą stronę rzeki.

Nagle Bogusław wyczuł, że szlachcic tatarski przygląda się mu natarczywie spod futrzanego kołpaka. Również zmierzył ordyńca wzrokiem. Przez kilka sekund obserwowali się, aż tamten strzelił nahajką swego bachmata i pognał przodem, a za nim jego ludzie.

Kozacy wyruszyli tuż za nimi. Szybko zmierzchało i już po ciemku dotarli do szerokiej doliny porośniętej dębiną, minęli rozpadające się szańce i zatrzymali się nad brzegiem Bohu.

Z przeprawą setnik postanowił poczekać do świtu, gdyż lód na rzece był jeszcze kruchy. Ordyńcy rozbili się na wzgórzu, bliżej szerokich pól. Kozacy utworzyli osobny obóz, w parowie przy samej wodzie. Po oporządzeniu koni wszyscy zgromadzili się przy ogniskach, aby pożywić się i ogrzać przed snem.

Prawie nie słychać było rozmów. Wyczerpani całodzienną jazdą ludzie pochłaniali w milczeniu prowiant, a następnie kładli się na legowiskach ułożonych ze skór zwierząt czy wyciętej na płyciźnie trzciny.

Tyner również dostał kawałek suszonej koniny. Po dwóch dniach o pustym żołądku pasek cuchnącego mięsa smakował mu nie gorzej niż nadziewany farszem bażant.

Wartownik sprawdził więzy krępujące Tynerowi nadgarstki i kostki u nóg, a potem przysiadł przy ogniu, grzejąc się i co jakiś czas dorzucając w płomienie wysuszone końskie łajno.

Tyner przysunął się bliżej ognia i skulił. Udawał, że śpi. W rzeczywistości spod przymkniętych powiek obserwował strażników czatujących na brzegu rzeki. Niestety, jakkolwiek by rozważał i planował, zawsze wychodziło mu, że ucieczka nie jest możliwa. Setnik kozacki trzymał twardo dyscyplinę wśród hultajstwa i nie zaniedbał wystawienia wart.

Bogusław usłyszał za plecami trzask zmarzliny pękającej pod obcasem. Wzdrygnął się i bezwiednie sięgnął do boku po szablę, którą mu odebrano. Zaklął szpetnie w duchu i spojrzał na stojącego nad nim setnika Kozaków. Przybysz zmierzył jeńca spojrzeniem ciemnych oczu, a potem kazał wartownikowi, by ten zostawił ich samych.

Tyner uniósł skrępowane dłonie i wykonał zapraszający gest.

– Rozgość się, Jurij. A może panie Jurij, bo teraz to wy wszystkie pany są – dodał z kpiącym uśmiechem.

Kozak wykrzywił usta, podciągnął delię i zasiadł ze stęknięciem obok szlachcica. Przez chwilę milczeli, wpatrując się w strzelające raźno płomienie.

– Ile to czasu się nie widzieliśmy, Jurij? – zagaił Bogusław.

Setnik ściągnął z głowy futrzaną czapę i przeczesał palcami długie rzedniejące włosy.

– Od waszego wesela z Marią – odrzekł smętnym głosem. – Co u niej?

– Nie żyje, od czterech lat.

– To była wspaniała kobieta – mruknął Kozak. Dorzucił suchego łajna do ognia i zapytał: – Jak twoja głowa?

– Wciąż trochę łupie. Gdyby nie czapka, byłoby już po mnie.

– Widać śmierć nie jest ci jeszcze pisana.

Tyner łypnął nań z ukosa. Przez kilka dobrych lat wspólnie walczyli przeciw Moskwie, nim Doroszenko został hetmanem i powiódł część Kozaków pod protekcję sułtana.

– Wiele razem przeszliśmy, Jurij, życie ci uratowałem. Nie mógłbyś odwrócić oczu choć na chwilę?

Setnik podniósł głowę. Spojrzenia dawnych przyjaciół się spotkały.

Rok 1671, Francja. Marysieńka Sobieska spotyka się z kardynałem de Bonzim, ministrem spraw zagranicznych Ludwika XIV i jednocześnie jej „oficerem prowadzącym". Żona hetmana wielkiego koronnego jest francuskim szpiegiem i prowadzi w Polsce operację mającą na celu detronizację Michała Korybuta Wiśniowieckiego…

Gambit hetmański opowiada o rozgrywce, w której silni mężczyźni to tylko pionki na szachownicy historii. Graczami są kobiety. Kobiety, które nade wszystko pragną władzy i gotowe są za nią zapłacić złotem, krwią i swoim ciałem. Wiedzą, że rządzą nie koronowane głowy, lecz szyje, które tymi głowami kręcą.

Historia jest nie tylko nauczycielką życia, to także skarbnica atrakcyjnych fabuł. Od zawsze zazdrościliśmy Francuzom i Anglikom umiejętności ich opowiadania. Ale już nie musimy! […] *To porywająca powieść o intrygach na najwyższych szczeblach władzy Rzeczypospolitej, o ambicjach polskiego prymasa, który robi, co może, by zostać papieżem, o silnych kobietach i ich władzy nad mężczyznami, o wielkiej miłości hetmana koronnego Sobieskiego i Marysieńki, o seksie, zdradach, walkach i zamachach… Okazuje się, że Bóg jest politycznym narzędziem, honor można kupić i tylko trucizna jest poważnie traktowana.*

LESZEK BUGAJSKI

ISBN 978-83-7515-343-9
9 788375 153439
Cena detal. 59,90 zł

E-book dostępny na
woblink.com